

# „Zażyjesz wrażeń moc!”

## Kto i po co chodził do kina

---

Na początku 1923 roku strajkowały w Warszawie wszystkie kinematografy. Jak co wieczór ludzie poszli obejrzeć film – i wrócili do domów rozczarowani. Albo nawet wściekli. Jednym z nich był poeta Antoni Słonimski. Co prawda już od dłuższego czasu właściciele kin straszili akcją protestacyjną, ale kto mógł przypuszczać, że coś takiego wydarzy się w stolicy europejskiego państwa? A na pewno nikt nie potrafił przewidzieć konsekwencji. Słonimski dzięki strajkowi zrozumiał, że bez kinematografu nie potrafi żyć. A co najważniejsze – nie chce! Odkrył, że pozbawieni kina warszawiacy „chodzą błędni i zrozpaczeni”, jakby ktoś pozbawił ich ulubionej używki. A przecież – jak pisał w okolicznościowym felietonie – to nieetyczne „odmawiać narkotyku ludziom cierpiącym”<sup>1</sup>.

Powodem protestów były zbyt wysokie podatki, którymi magistrat od lat gnębił właścicieli kin. Słonimski, biorąc w obronę widzów, napisał, że podatek od kina to jak podatek od codziennej kąpieli, gazety lub wstawania z łóżka. „Można ludziom odebrać komfort, mieszkania, garderobę, jedzenie – można spychać ich coraz bardziej do rzędu pariasów, ale nie wolno im odbierać złudzenia”.

Ani psycholog, ani wykładowca akademicki, ani nawet poeta Skamandra nie znał jednak odpowiedzi na pytania, od których chciałbym zacząć podróż do międzywojennej Polski. **Kto chodził do kina i dla czego?**

Zdrowy rozsądek podpowiada najprostsze rozwiązanie tej zagadki. Do kina chodzi się przecież dla rozrywki i odpoczynku, a także po to, by zobaczyć ciekawą historię i przeżyć emocje niedostępne w życiu codziennym. Ale to za mało. Słonimskiemu strajk uświadomił, że kino dostarcza „marzeń i iluzji”, pozwala radzić sobie z tęsknotami, lecz przede wszystkim – znieczula ludzi, dla których trudy życia są zbyt ciężkie do udźwignięcia. To zaledwie jeden głos, a jeżeli chcemy zrozumieć fenomen dawnego kina, potrzeba całego chóru. Spróbujmy zatem ożywić wspomnienia, aby stworzyć portret pamięciowy widza z lat międzywojennych.

### Kto chodził, a kto nie chodził do kina

Jeden z mitów założycielskich przedwojennego kina opowiada o wypełnionej do ostatniego miejsca sali oraz masowym zainteresowaniu nową formą rozrywki (bądź sztuki). Znamy go z licznych wariacji, przekazanych w publicystyce, wspomnieniach i literaturze pięknej.

„Jeżeli spojrzysz na salę – pisał w roku 1912 rosyjski dziennikarz – układ widowni zadziwi cię. Każdy tutaj jest: uczniowie i policjanci, pisarze i prostytutki, oficerowie i uczennice, wszystkie odmiany brodatych i ukrytych za okularami intelektualistów, robotnicy, subiekci, kupcy, damy z towarzystwa, krawcowe, służba. Jednym słowem: wszyscy”<sup>2</sup>. Salka kinematografu była postrzegana jako miejsce przesiąknięte duchem swobody, który niweczy różnice klasowe, wiekowe i majątkowe. Jak pisał w 1924 roku Józef Jedlicz: „Chodzili starsi i młodzież, tłum i arystokracja duchowa, inteligencja i analfabeci, i półanalfabeci, wykwinna dama i pokojówka, i służąca, mieszczanin i robotnik, i profesor uniwersytetu, i duchowny...”<sup>3</sup>. Po projekcji rozpoczynał się rytuał przeżywania filmu, który znów angażował ludzi różnych sfer. „Filmem żyli wszyscy, o przygodach ulubionych bohaterów opowiadano sobie w urzędach państwowych, sklepach, na przyjęciach imieninowych i spotkaniach urządzanych z okazji świąt. Nawet głusi zakładali trąbki słuchowe, aby uczestniczyć w relacjach młodszych pokoleń z seansów”<sup>4</sup> – wspominał Piotr Schmandt.

Naturalnie zastanawiano się, w jaki sposób kino godzi oczekiwania analfabety i profesora. Siegfried Kracauer, niemiecki socjolog, eseista i krytyk filmowy, w 1926 roku znalazł wyjaśnienie: to masa wchłania widza, tworząc jednolitą kosmopolityczną publiczność, „w której każdy reaguje tak samo, od dyrektora banku po sprzedawcę sklepowego, od divy do stenotypistki”<sup>5</sup>. Mechanizm transformacji samodzielnie myślących jednostek w zgodnie reagującą zbiorowość próbowało wyjaśnić kilka pokoleń filmoznawców, posiłkując się metaforą snu, hipnozy, regresu do życia płodowego oraz jaskini platońskiej, która krępuje kajdaniarzy zgromadzonych przed ekranem.

Mit zatłoczonego kina, które zrównuje wszystkie grupy społeczne, odcisnął się również w literaturze pięknej, przybierając mniej oczywistą postać niż w publicystyce. Najtrafniej sparafrazował go Tytus Czy-

zewski w wierszu *Cinema*, przyrównując kino do świątyni. To właśnie rytuał jednoczy ludzi różniących się wiekiem, wykształceniem oraz pozycją społeczną:

[...] wyszły szczury ze zlewów  
wyszły panny z kościołów  
wyszły mniszki z klasztorów  
zjechały auta ze dworów  
do kinematografów – kościołów.<sup>6</sup>

Ale z tym mitem jest jak z dawnym żartem o radiu Erewań. Niby wszystko się zgadza, tyle że nie każdy, nie zawsze i nie wszędzie.

Z jednym trzeba się zgodzić: w tamtych latach kino było w Polsce bardzo popularne, mimo wojny z Rosją bolszewicką, mimo problemów towarzyszących odbudowie odzyskanej państwowości, mimo kryzysu ekonomicznego oraz innych wyzwań, które na ogół odciągają ludzi od kultury. Nie oznacza to, że do kina chodzili wszyscy. Jedni nie chodzili, ponieważ nie lubili, drudzy – ponieważ nie mogli.

Dużo na ten temat mówi statystyka, którą ograniczę do kilku przykładów<sup>7</sup>. Najczęściej do kina uczęszczali mieszkańcy dużych i średnich miast – w latach 30. średnio nawet kilkanaście razy w roku. W 1930 roku sprzedano w Warszawie ponad 12,5 miliona biletów, we Lwowie – prawie 4 miliony. To niezły wynik, zważywszy na początek Wielkiego Kryzysu, galopujące bezrobocie i powszechne poczucie niepewności jutra. Prowincja była od kina odcięta, i to ona zaniżała statystykę. Znow wystarczy spojrzeć na liczby. W 1936 roku w samej Warszawie działało 70 kin, na Śląsku – 72 kina, w Poznańskim – 70, a w Lubelskim – 35. Na szarym końcu plasowały się województwa nowogrodzkie z 14 kinami oraz poleskie – z 13. W Pińsku, największym mieście Polesia, działały zaledwie 2 iluzjony.

Według badań statystycznych w 1937 roku aż w 152 miastach Polski liczących od kilku do kilkunastu tysięcy mieszkańców nie było ani jednego kina, i to nie tylko na zacofanych ekonomicznie Kresach, ale również w województwach zachodnich, które uchodziły za cywilizacyjnie rozwinięte. „Poleszycy w łapciach łykowych, używający krzesiwa zamiast zapalek, [...] znają już samoloty, z turkotem przecinające niebie-